

Zbigniew Kruszyński

**POWRÓT
ALEKSANDRA**

Zbigniew Kruszyński

POWRÓT ALEKSANDRA

Wydawnictwo Estymator

Warszawa 2020

Copyright © Zbigniew Kruszyński 2006

Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020

Okładka: Iwona Białas

ISBN: 978-83-66719-05-7

SPIS TREŚCI

CZAT	4
NULLA	13
SPIS RESPONDENTÓW	20
MARRAKECH	27
SPOTKANIE Z MARIĄ	39
POWRÓT ALEKSANDRA	51

CZAT

Obserwował przechodniów i dobierał ksywy. Nicki — jak się fachowo nazywają. Nickt, Nickolski, Mickiewicz i Nicklas — próbował je wymyślać, dopóki nie sprawdził, że wszystkie są już dawno zaklepane, bo wszystkich już przemianowano i tłum przechodniów chodził teraz po Świdnickiej imienny, ale niealfabetyczny.

Ona_trzydzieści spieszyła się przed siebie, za sobą zostawiając ogon elektronów. Widział najpierw jej szminkę, lśniąca od pikseli, potem przez chwilę profil (nie pije i nie pali), potem dwukolorowe włosy w równoległych pasmach, jakby wrócił czas monitorów czarno-białych, a na koniec sylwetkę w stożkowatym płaszczu, broniącym chorej wyobraźni wstępu do wyuzdanej geometrii brył.

Ona_trzydzieści, dajmy na to, cztery, choć wiek można zaokrąglać w dół, przeciwnie, nigdzie się nie spieszy, stop, wolnego, piątek, pacjentka w stresie jest przynętą wielu groźnych chorób. Medytuje przed sklepem, najpierw obuwniczym, podsuwając stopę do witryny, dalej, jeszcze dłużej, odzieżowym, bo zawsze można by coś włożyć, i następnym z bielizną, bo pod tanto ciepłe da się wcisnąć coś koronkowego, potem parę metrów pustka, nic, remont z niewiadomą zawartością, wreszcie księgarnia, tutaj może coś dla ducha, wchodzi i widzi ścianę książek, mur.

Chętna_studentka mija ją przy kasie i wychodzi w tym samym miejscu na ulicę. Wyjmuje z plastikowego worka książkę, z obrzydzeniem wciska go do kieszeni, wie, że plastikowe worki nas przeżyją, ale chciałaby odwlec tę chwilę i istnieć jeszcze trochę pośród rzeczy szlachetnych, drukowanych: drukuj, ikona rozłożonej książki z odhaczonym ptaszkiem w pasku narzędzi u góry ekranu. Przystaje na chodniku, poprawia okulary, otwiera książkę, odkasłuje. Miłość — czyta rozstrzelonym drukiem na skrzydełku — miłość między nim a...

— Bił ją — słyszy, wypowiedziane podniesionym głosem, bo głos przejął ktoś inny, mężatka_czterdzieści, czatująca w tym momencie pod księgarnią z koleżanką. — Bił ją — streszczają inną książkę, kiedyś też miłosną.

Studentka nie daje jednak za wygraną, próbuje czytać dalej: ...między nim a Lidią — powoli rusza z miejsca, będzie czytać w ruchu, lawirując chodnikiem, pośród zwrotów akcji. Jeden z nich, w formie krawężnika, pojawi się niebawem na dziesiątym metrze. Wystarczy płytki uskok, żeby prawa noga potknęła się boleśnie, język w tym momencie znalazł się między zębami, jakby chciał wymówić coś przedniojęzykowego, jakies: dość czy duś, torebka zatoczyła półmetry łuk i uderzyła w głowę niewinnego, nadchodzącego właśnie z

naprzeciwka, jego_dostawcę_pociech, przydomek dwuznaczny, bo nie wiadomo: cieszy czy zapładnia.

— Przepraszam — wysepleniła z trudem, język rósł jej w ustach — potknęłam się na krawężniku.

— Nic nie szkodzi — dostawca ujął ją pod łokieć, nieskromnie spuścił oczy, nie odrywał wzroku od przewężenia łydki, jeszcze nie opuchłej. — Czy nic się pani? — spytał.

— Nie, nic się nie — powiedziała, schyliła się po książkę leżącą na asfalcie, zdążył ją już kopnąć ktoś idący za szybko, zbyt zdecydowanie, żeby mu można przypiąć jakiś nick. Zaraz zginął zresztą w przejściu podziemnym i już się nie wynurzył, niech tam zostanie, indywiduum nie znane opowiadaniu.

Niech za to wyjdzie z podziemi na szpilkach niezłalaska o zielonych włosach, znaczona, obrączkowana gdzie popadnie, na pępku, wardze i uchu, przy którym trzyma telefon — nieprzyjemnie stuka o metal — i mówi do słuchawki, bo jest tylko słuchawka, że owszem, zrobi, ale za kartę.

— Poproszę kartę — w tym samym czasie trzech absztyfikantów nachyla się do okienka w trzech kioskach, żeby między rzędami baterii i grzebieni zobaczyć, kogo proszą.

Kawiarnie internetowe okupują miasto. Jedynym daniem, jakie tu serwują, jest małpa. Są jeszcze, w ustawionej przy wejściu lodówce, zimne napoje, zwłaszcza coca-cola, z liternictwem też dziwnie pokręconym, w sam raz do polewania klawiatury tak wytartej, że piszą po omacku, jakby brajlem chciał pisać ociemniały, który do tego stracił czucie w palcach. Przed ciasno stłoczonymi ekranami, na plastikowych chybotliwych krzesłach z rurek siedzą kosmonauci, czasem w hełmofonach, i bez wytechnienia wystukują hasła, na oślep, błędne albo niedokładne, tak że orbity wciąż się przecinają, wywołują eksplozje, nikną w czarnych dziurach, razem z żonką_trzydzieści, która lekkomyślnie zignorowała ksywę: żonkoś_gość, wiek jeszcze niesprecyzowany, ale przecież męski — żeby przepaść w ramionach wyrostka, podlotka, któremu ledwie wysypał się trądzik, nie potrafi sklecić dwu zdań bez skomleń, zdrobnień, rozsyłanych hurtem w całych wiązkach: siemki, narki, sorki, tylko ssać i siorbać.

Co jakiś czas komputer się zawiesza, słyhać stłumione przekleństwa, zaklęcia i suchy astmatyczny trzask klawiszy: nie reagują na nic, obraz na ekranie jest nieaktywny i zastygły w bursztyń, który wprowadzie się elektryzuje, ale dopiero kiedy go porządnie potrzeć, najlepiej o spodnie. Ktoś, słyhać — kurważ — stracił cały dzień pracy, jak nożem uciął urwały się kontakty, zanim zresetuje, zaloguje, odejdą już gdzie indziej, zgubią się, zapomną, i teraz

szukaj, chłopie, wiatru, elektrony są szybsze od plemników i bardziej rozwiązłe od hormonów.

Narzeka na łącza, płaci i wychodzi. Deszcz chłodzi mu zaczątki łysiny, bo zaczęło padać, czego nawet nie zauważył, idzie przez mokre miasto, lunatyk z innej galaktyki, w której nie wymyślono jeszcze parasoli. Nogawki nasiąkają wodą od dołu i nieprzyjemnie kleją się do łydek. Obryzguje go przejeżdżający samochód i nawet nie chce mu się puścić za nim wiąchy, bo zbyt wątła jest jego wiara, że świat trwa w realu i że mokre różni się od suchego. Nie czuje głodu, wchodzi jednak do baru zwabiony płataniną kabli za kasą. Powoli wraca mu wzrok, zaczyna odróżniać wymiary, przedtem sprowadzone do płaskiego kwadratu. Widzi twarz kasjerki, nos trochę bliżej niż oczy, widzi nawet bejsbolową czapkę z daszkiem rzucającym cień na pół twarzy. Dochodzą do niego dźwięki, więc nie ogłuchł, czuje teraz płynące z kuchni zapachy, rozgrzany olej, ciasto, ale nie słodkie, raczej na zakwasie, mięso, smażone, jednak głód powraca. Rozpoznaje swój głos, coraz bardziej zdecydowany: — Tak, niech będzie z frytkami. — Zje, strawi, może jeszcze tym razem uda mu się wrócić między żywych, do świata.

Przyznaję, to może być intrygujące, zwłaszcza początek. Włączasz, wybierasz sobie przydomek, jakiś stary, jeśli nie jest jeszcze spalony, albo całkiem nowy, na który nabiorą się także dawni korespondenci. Siedzisz bez ruchu, czekasz, przypominasz trochę wędkarza nad jeziorem, aż dziw, że nikt jeszcze nie wpadł dotąd na pomysł ikonki ze spławikiem, który szedłby pod wodę w momencie, gdy chwyta. Na ekranie przewalają się tłumy krasomówców i kabotynów, gadających publicznie, sprawdzasz tylko ich dziwaczne pseudonimy, żeby wiedzieć, kogo unikać. Wstępujesz do różnych pokoi, odkrywasz niechcący, że ta sama interesująca_trzydziestka dyskutuje z dzisiejszym gościem na czacie, posłem partii chłopskiej, który zapewnia, że źródłem życia jest system dotacji i dopłat, tu dyskutuje, a w pokoju obok czeka na partię chłopów, którzy bez dyskusji zrobią, co do nich należy. Straszna jest dwulicowość, są tacy, co kopulują z kilkoma naraz, nie przerywając przy tym obywatelskich interpelacji i pytań. Chciałbym tutaj przestrzec przed nazwiskiem Szywek Janusz, które należy czytać i Janus, i Shiva, pedofil i transwestyta.

Co parę minut na monitorze wyskakuje reklama, przy dobrym czasie reakcji udaje się ją zgasić, zanim będzie wiadomo, czego nie kupimy. Nawet w przebraniu wędkarza, samotny nad jeziorem, człowiek nie ma od nich spokoju.

Czekam jeszcze chwilę, w pasku u góry przebiegają wiadomości, ostatnie, chociaż te same co wczoraj, znów ktoś wysadził siebie i pół hektara tłumu, prościej by było donosić, kiedy nikt nie wybuchł.

Sprawdzam pogodę, deszcze, dla reumatyków i melancholików, nad ranem już przymrozki, a w górach inwersje, tym cieplej, im wyżej, i nagle: jest, wyskakuje w żółtej ramce: — Hej, skąd klikasz?

Szybko zawiązuje się rozmowa dwojga interlokutorów nieobcych filozofii dialogu. Sprawdzam, z którego to pokoju, żeby nie popełnić jakiejś gafy, nie zaproponować małżeństwa mężatce, a anorektyczce kolacji, nieraz przydomek ma sens dopiero w powiązaniu z tematem i nigdy nie podpisałbym się na przykład: kliknę_clitoris, jak dowcipniś, co wywala cały dowcip na ławę. Na hasło: opisz się, dokładnie się opisuję, sto siedemdziesiąt osiem centymetrów i do tego waga, nigdy nie przestanie mnie zadziwiać, że ludzie za tożsamość uważają wzrost i numer stanika. Dyskretnie pomijam stan cywilny, tak czy owak, dziś wieczór nie jestem żonaty ani rozwiedziony. Dobrze jest też sobie wspólnie ponarzekać, najlepiej na młodzież, która okupuje i zachwaszcza to miejsce, nie ustępując go starszym.

Staram się ją rozśmieszyć, jestem w stanie przewidzieć, kiedy nie wytrzyma i wystuka h i a, salwa śmiechu, kilkakrotnie powtarzana, ale jakże licha, bo do śmiechu brakuje nam czcionek i liter. Mimo to piszę: ładny śmiech, perlisty i doniosły, dochodzi tu poprzez zgiełk przestrzeni.

Pytam o kolor włosów. Rude, ale to od szamponu. W każdym razie gładkie, do ramion.

— Czy można pogłaskać?

— Pogłaskać? Ależ tak, proszę, przez szybę.

Głaszczę, elektryzują się jak bursztyn, trzeszczą, jakby transmitowały zakłócenia.

— To tylko od elektronów — teraz ona chce być dowcipna, niepotrzebnie, bo znam tę odzywkę. Przejdźmy lepiej do ubrań, ręka odruchowo zjeżdża po ramieniu i niżej. Wiem, że siedzi tam w starym rozciągniętym podkoszulku, ale wołałbym coś śliskiego, co nie wstrzymuje ruchu. Bielizna niech będzie czarna. Rajstopy olśniewające na łydce, ciemniejsze na ściągaczach, z elastyczną trampoliną wyżej, rozciągniętą między udami, dokąd zaraz dotrę, jeśli nic nie przeszkodzi.

— Opowiedz teraz — prosi — coś o sobie.

— Przecież cały czas opowiadam.

O sobie, na Boga, co opowiedzieć? O chłopcu, który dorastał w cieniu ojca i starszego brata, składał modele samolotów, a oni, rzucając okiem, mimochodem, mówili: i tak nie

poleci. O matce, której posłannictwem życiowym było: nie denerwować. O ponurej szkole, gdzie nie kleił się nawet butapren, tylko pachniał coraz bardziej upajająco. O studiach, będących jednak haustem swobody, gdyby nie... mniejsza o to. O latach ciemnych i mokrych, jak w studni, małżeństwie i zaraz rozwodzie, bo kto to wytrzyma. Opowiedzieć coś o sobie, nie, wróćmy lepiej do ubrań.

Nie odpowiada, głucho.

— Hej, jesteś tam, zasnąłś?

Zero, żadnej reakcji, odeszła w rozciągniętym podkoszulku, w rajstopach albo bez nich, w rozdeptanych pantoflach wyszła do kuchni. Nie szkodzi, przeżyjemy, niektórym kończy się czas, cierpliwość, nie wiedzą, co znaczy wierność, trudno, żeby z całą siecią konkurował jeden wędkarz.

Tak, rzeczywiście, raz się umówiłem. Z Martą, lubię to imię, choć wiem, że naprawdę ma inne. Rozmawialiśmy wielokrotnie, wracając do tych samych tematów: jak przeżyć do pierwszego ze średniej krajowej? jak odróżnić ogień trwały od słomianego i co potem zrobić z popiołem? dlaczego, jeśli życie jest kataklizmem, nie obowiązuje stan klęski żywiołowej? że bluszcz rośnie gdzie chce, najlepiej na cmentarzach, a papirus musi zawsze stać w wodzie; jak wyrażać się w języku Java, żeby nie popełniać błędów, które mogą zniszczyć twarde dyski?

Umówiliśmy się o siódmej w Rynku pod fontanną. Coś świętowano, chyba jednak nie nas. Grała orkiestra dęta, wiatr porywał wodę i właczał ją do saksofonów. Potem znów wystrzeliwała, przy refrenie. Jakieś dziecko goniło zielony balon, zbyt ciężki, żeby wzlecieć, za lekki, żeby opaść. Na placu Gołęzim ustawiono katapultę, straceńców wyrzucano w górę na długiej gumie, na chwilę zastygali w najwyższym punkcie, a potem spadali, kilka razy, niezgrabnie dyndając, jak wahadło, które się urwało. Ktoś zbierał pieniądze i podpisy pod petycją w słusznej sprawie, podpisałem i zapłaciłem. Zegar na ratuszu bił kwadrans. Marta nie przychodziła.

Wielokrotnie okrążałem fontannę przeciwnie do ruchu wskazówek, ale czas się od tego nie zatrzymał, czas mijał. Rozpylona woda zalewała mi okulary i musiałem je przecierać po każdym okrążeniu. Widziałem, jak łączą się połówki umówione już trzy kwadransy po nas, machając z daleka i padając sobie w ramiona, świetnie wyglądały, nic się nie zmieniły — tak że znowu składały się w całość — i szły dalej do restauracji wyległych na trotuary, bo umierały z głodu. Jacyś turyści podali mi mały srebrny aparat, żeby ich uwiecznić na tle bryzgów, uśmiechali się do mnie uprzejmie, cała trójka, od ucha... ucha... do ucha —

środkowy był trochę zasłonięty — miałem nacisnąć, gdy zobaczę tęczę w drobinach wody nad ich głowami, jak kolektywną aureolę, nacisnąłem, Marta nie przychodziła.

Wiedziałem, jak wygląda, przysłała mi zdjęcie, niezbyt dokładne, niecałe sto kilobajtów, z czego trzy czwarte zajmował zachód słońca nad wydmami, potem piasek, piasek i dopiero ona, siadła skromnie z boku, podciągając kolana pod brodę, jakby nie chciała psuć kompozycji tych wydm, ściśle, co do ziarnka zarachowanych. Powiększyłem jej twarz i zobaczyłem, że ma delikatną, ledwie widoczną obwódkę wokół ust, jakby nigdy nie wysychającą bliznę po różycze. Włosy założone za prawe ucho — ruchem, którego już nie podpatrzymy — odsłaniały jaśniejszy punkt, nie da się powiedzieć, klips czy kolczyk.

Doczekałem do ósmej, w ogródku na rogu wypilem gorzkie piwo, nie powiem jakie, beczkowe, stokrotki wetknąłem do jałowej skrzynki pełnej petów, nie urosną, podobnie jak tytoń, poszedłem na przystanek i wróciłem pierwszym tramwajem na ten sam godzinny bilet, może trochę przeciągnąłem, ale tramwaje też się spóźniają i jeżdżą w stadach, szarpiąc na zakrętach, szczególnie przegubowe. Z czym wróciłem? Z niczym. Z niczym? Nie, dopiero wtedy mnie oświeciło.

Jeszcze tego samego wieczoru wyznaczyłem spotkanie trzem osobom w trzech różnych punktach. Jednej pod tą samą fontanną, gdzie z pewnością woda lała się nadal; drugiej pod dworcem, bo miała dojechać z T. kolejką podmiejską i bała się, że nie zdąży; trzeciej niedaleko, pod pomnikiem, którego miedzianą połę widzę z okna sypialni, tak żebym mógł przez lornetkę sprawdzić, czy tkwi na posterunku i czuwa.

Nazajutrz zabrałem się do roboty. Wyłapywałem najpierw tych, co palili się do spotkania, za darmo i za kasę, za kartę i bez karty, sponsorów kolacji, stawiaczy piwa, napalonych na dziś wieczór, na chatę, na imprezę, fanów pończoch i fanki bokserek, lodziary i mineciarzy, laski i łachów, analki, animalki, mężatki, konkretnych i modeli, samych w domu i w biurze, gołych i ubranych przed komputerem. Potem wyciągałem z domu domatorów, tutaj musiałem już lepiej argumentować. — Nigdy nie spotykam się z ludźmi z czata — bronili się, poniekąd przewidująco, wątpiąc, czy dojdzie do spotkania, tylko że ono, czego nie mogą wiedzieć, jest projektem permanentnym, globalnym, jest uniwersum.

Liczyłem się z tym, że nie wszyscy przyjdą, odpowiedzialność trzeba kształtować przez pokolenia, dlatego często łączyłem ich w dwójki, w trójki, jak w patrol straży miejskiej. Niektórzy od razu zresztą chcieli stawić się w kilkoro, dwóch_na_jedną było często powracającą ksywą.

Początkowo ograniczałem się do naszego miasta, obstawiałem, trochę na chybił trafił, najważniejsze punkty, zawsze fontannę, pręgierz i studnię, plac przed pedetem, skwer pod biblioteką, politechnikę i uniwersytet. Z czasem nauczyłem się organizować wszystko metodycznie, systematycznie, jak dobry strateg. Przewidywałem rozwój wypadków i układałem grafik zależnie od pogody i wizyt państwowych. Kiedy na przykład przyjeżdżał prezydent, a do tego padało, nie posyłałem nikogo do odciętej, sparaliżowanej części miasta, do której trudno się dostać i nie ma co obstawiać, bo każdy metr jest już obstawiony, na domiar tak zasłoniętej parasolami, że nie widać nic i nikogo, w tym prezydenta, i z satelity Rynek wygląda jak czarnoziem rozorany tu i ówdzie dachami. Ludzi trzeba oszczędzać, gdyby Napoleon dysponował naszymi narzędziami, nie potrzebowałby tylu lat i armii, żeby przegrać.

Później zacząłem zaludniać także inne miasta, grozi nam ujemny przyrost naturalny, a ludzie boją się spotkań. Zacząłem od wojewódzkich, nawet jeśli proponuję zupełnie nowy porządek, to przecież na razie muszę posługiwać się starym. Na przykład dzisiaj, w piątek, dwudziestego drugiego października, od wczesnego popołudnia kontroluję plac między kolumną a Zamkiem, teren zdradliwy, pochyły, wyłożony śliskim szlifowanym granitem, na którym łatwo o wypadek; północną (on_czterdzieści) i południową (ona_się_spotka) stronę Sukiennic, odbudowanych przez Jana Marię Padovano po pożarze, który nigdy by nie nastąpił, gdyby ktoś wcześniej wysłał tam swoich ludzi; wąski przesmyk między Złotą Bramą a Katownią (— Czy masz zamiar — spytała przeciągle — mnie torturować? — Nie, niech pomyśli raczej o formie Bramy, nawiązującej do jakiego łuku?); jak zawsze wysłałem kogoś na plac Farny do rodzinnego Er, gdzie nie byłem od matury, ale wiem, że za chwilę księżyc jak balon nadzieje się tam na wieżę Fary; obstawiam krzywy bruk wokół fontanny Prozerpiny, ta na szczęście jest stara, późny barok, i nie oblewa; pod tą na placu Gołębim, gdzie wszystko się zaczęło, ustaliłem co godzinę dyżury jak u grobu nie powiem kogo.

Kontroluję także inne miejsca, których tu nie wyjawię, bo misja wymaga dyskrecji, nie tylko gdy celem jest zdrada, nierzadko przenikam do wnętrza, aranżuję spotkanie między dwojgiem niczego nie podejrzewających karbonariuszy, niech myślą, że to oni się umówili, i kiedy on staje przy kontuarze z „Dziennikiem”, a ona podchodzi w beżowej bluzce z falbanką, i wiem, że zaraz padnie pytanie: czego się napijesz? — pozwalam im wybrać, niech piją, co chcą, nie wnikam.

Nieraz jednak udaję się na punkt kontrolny i sprawdzam. Widzę ich z daleka, jak mierzą przestrzeń tam i z powrotem, czujni, dyżurni. To pokrzepia i uspokaja, zwłaszcza na

odległość, dlatego nigdy nie podchodzę, dobrej kompozycji potrzebny jest dystans, a piękno rodzi się w oku.

Jest prosty sposób, aby wyeliminować oszukujących. Umawiam się z nimi, wychodzę, ale zaraz wracam pod innym nickiem i jeśli wciąż są na czacie, jeszcze raz się umawiam. Dopiero kiedy widzą, że w tym samym co przed chwilą miejscu i czasie, rozumieją, że zostali zdekonspirowani. Uciekają, nie gonię ich, przecież daleko nie odbiegną, kula jest doskonałą i domkniętą bryłą o wszystkich punktach powierzchni równo oddalonych od centrum.

Oczywiście, muszę niekiedy zmieniać płęć, żeby cały ciężar nie spoczywał tylko na kobietach, obowiązuje parytet. Ale tylko na chwilę, bo wystarczy chwila, wpiszcie słówko: chętna, a w dwie minuty zapcha wam się dysk, trzy gigabajty. Wpisywałem ostrożniej, w formie przypuszczającej, conditionalis dobrej konduity: ona_chciałaby. I chciałbym tutaj sprostować błędne informacje, że podszywałem się pod nieletnie, nigdy nie zszedłem poniżej osiemnastu, a młodzież, która samopas przemieszcza się po plantach i placach, nie przeze mnie tam została posłana. Zdarza mi się także umawiać z tą samą płcią, dzisiaj nawet Kościół zaleca tu tolerancję.

Ostatnio jakoś wycofuję się z metropolii, piazza Navona, Trafalgar, Chatelet i Las Ramblas, trudno, zostaną jakiś czas bez opieki. Nie czuję się odpowiedzialny za zamach pod Sainte-Chapelle, stojącej jak na ironię obok komisariatu na tyłach sądu. Umówiłem się tam z nią przypadkiem, z zamiłowania do płomiennego gotyku, i wcale nie ma pewności, czy przyszła o tej godzinie. Za rewolucji w kaplicy był skład mąki, odbudował ją Viollet-le-Duc sto lat później.

Nie chcę niczego podpowiadać, ale na ich miejscu zaatakowałbym tunel pod kanałem La Manche, w pół drogi z Folkestone do Calais. Tamtędy można puścić cały wagon semteksu, a kogo nie rozerwie, tego zaleje.

Coraz bardziej natomiast pociąga mnie prowincja, zaciszne porty w Apulii, na dziennej zmianie patrolowane przez jaskółki, na nocnej przez nietoperze; senne, ciche miasteczka w Alentejo, gdzie nikt nie bywa, bezpieczeństwa psy śpiące na kamiennych schodach, małe koty, zawsze zdumione, chudy fryzjer, w podkoszulku z siatki, który stanął w drzwiach i patrzy, z tęsknotą wypatruje zarośniętej głowy. Dobry prowincjonalizm byłby najlepszym budulcem dla unii.

Nieraz, kiedy zmęczony po całym dniu pracy wychodzę do miasta i widzę ludzi stojących na przystankach, w bramach, pod bankomatem, sam już nie wiem, czy ich tam

wystawiłem. Ale to w gruncie rzeczy nie ma takiego znaczenia, liczy się gotowość do spotkania z innymi.

Jesień atakuje znieca, przymrozki i mgła taka mokra, że nawet dymy z kominów przestają lecieć i ciekną, trujące skraplające się wyziewy. Co z tego, że zimny wiatr je poderwie i przegna, jeśli ogołoci przy tym drzewa z ostatnich liści, zostawiając nagie czarne gałęzie, wykres neurozy. Trochę dalej na południe jest jednak słońce, pełne, okrągłe; i owalne oliwki, a dla krótkowidzów arbuzy. Jesień atakuje znieca, ale przecież nie cały kontynent.

W listopadzie kupuję tani czarter, w ostatniej chwili, tak że nie do końca wiem, gdzie wyląduję.

Wieczorem siadał na corso nad kieliszkiem porto i przyglądał się im, pątnikom, zmierzającym do miejsc wyznaczonych.